

OPINIE / RECENZJA
Stach Szablowski

Husarz była kobietą!



Oskar Dawicki
Mary
Galeria Raster,
Warszawa (do 27
stycznia 2018 r.)

Naprawdę dobry żart nie powinien być zbyt śmieszny. Tej zasadzie zawsze wierny był Oskar Dawicki, godny poparcia pretendent do tytułu pierwszego trickstera sztuki III Rzeczypospolitej, artysta obdarzony fenomenalnym poczuciem humoru. W konsekwencji jego sztuka jest w całej swej zabawności posepną – i *vice versa*.

Mary, najnowsza wystawa Dawickiego, nie jest wyjątkiem. Jej akcja rozwija się gdzieś między husarzem a cmentarzem, a bohaterami (oczywiście niewidzialnymi) są dzieci nienarodzone. Gdzie mogą dziać się takie rzeczy? Jak to leciało u Jarry'ego? Nigdzie, czyli w Polsce?

W ostatnich latach wiele się z Oskarem Dawickim działo artystycznie, ale również w wymiarze ontologicznym. Najpierw artysta stał się postacią literacką, jako protagonista poświęconej jego twórczości powieści krytycznej *W połowie puste* opublikowanej przez dwóch Łukaszów – Rondudę i Gorczycę. Potem wystąpił w roli tytułowej w fabularnym filmie *Performer*. Fabuła znów osnuta była na artystycznych dokonaniach Dawickiego, który zagrał samego siebie. W ten sposób podryfował jeszcze dalej w stronę statusu postaci fikcyjnej. W konsekwencji egzystencjalna solidność bytu realnego Oskara Dawickiego stanęła pod wielkim znakiem zapytania, a przecież artysta kwestionował ją już wcześniej. Życie ludzkie, z natury tymczasowe i w dłuższej perspektywie skazane na biologiczne fiasko, już samo w sobie jest przedsięwzięciem wątpliwym i dyskusyjnym. Życie artysty, zaplątanego nie tylko w ułudę bytu, lecz również w fikcję sztuki, wątpliwe musi być w dwojnasób. Dawicki swego czasu wynajął detektywów, aby śledzili Oskara Dawickiego i zdawali mu raporty na temat zwyczajów i poczynań tego osobnika. Pozował też chętnie ulicznym portrecistom ze starówek różnych ośrodków turystycznych. Niestety żaden z tych wizerunków nie był zbyt podobny do oryginału. Im więcej było portretów, tym bardziej obraz artysty rozmywał się, zamiast wyostrzać. W pamiętnym performansie *Wisielec* Dawicki tematyzował próbę samobójczą; oczywiście występował w roli tytułowej. Była to próba nieudana, właściwie z góry skazana na klęskę. Porażka – zarówno w sensie egzystencjalnym, jak i artystycznym – jest wielkim tematem sztuki Dawickiego. Wszak mowa tu o autorze rzeźby przedstawiającej plastikową choinkę, z której opadły wszystkie igły...

Z egzystencją wiąże się wiele trosk, a jeżeli jest się artystą, to ich brzemień staje się tym cięższe. I umówmy się, bycie Polakiem wcale nie pomaga w dźwiganie tego brzemienia. Dawicki – fatalista – nigdy nie unikał tego ciężaru. Jest autorem wielu prac poświęconych trudowi związanemu z unoszeniem obciążenia podwójnej kondycji, ludzkiej i polskiej, w tym ikonicznego autoportretu pt. *To nie jest flaga*. Biały pokój wyłożony jest czerwoną wykładziną. W kącie ta wykładzina wybrzusza się i marszczy. Fuszka? Ktoś źle ją położył? Nie, wybrzuszenie układała się w kształt człowieka – artysty – Dawickiego – „zamiecionego pod dywan”, przywalonego wykładziną w tym dusznym, biało-czerwonym pomieszczeniu.

Mary mieszczą się w „polskim” nurcie twórczości Dawickiego. Wystawę otwiera husarska zbroja, pięknie wyeksponowana niczym w Muzeum Wojska Polskiego. Cóż to jednak za niezwykły pancerz? Na jakiego rycerza został skrojony? Nie dość, że w zbroi przewidziano miejsce na wydatny biust, to również na jeszcze wydatniejszy brzuch, w sam raz na ósmy miesiąc ciąży. To zbroja dla husarki – i to brzemiennej!

Artystom postkonceptualnym – takim jak Dawicki – zarzuca się, że dobrzy są tylko w produkowaniu pomysłów, ale do żadnej „uczciwej” artystycznej roboty wziąć się nie potrafią. Kto widział tych tricksterów z pędzlem lub dłutem w ręku, uwalanych po pachy w glinie, ze spracowanym obliczem upakowanym farbą? Artysta postkonceptualny nie brudzi sobie rąk. Opracowuje projekty; resztę załatwiają odpowiedni fachowcy, zręczni, ale anonimowi, wyłączeni z obrotu kapitałami symbolicznymi sztuki. Zbroja z *Mar* doskonale ilustruje to wyobrażenie. Z Dawickiego żaden płatnerz. Tych jednak, na jego szczęście, w Polsce nie brakuje. Im dalej od średniowiecza i starych dobrych czasów sarmackich, tym więcej kuje się w tym kraju mieczy, koncerzy, a zwłaszcza puklerzy husarskich. Nowoczesność, modernizacja – te sprawy nudzą coraz większą liczbę Polaków, którzy zasilają rosnące szeregi rekonstruktorów historycznych; do udziału w dorocznych inscenizacjach bitwy pod Grunwaldem chętnych jest już więcej, niż było ich w czasach Jagielly i nikczemnego von Jungingena. Ktoś tych wszystkich ludzi musi uzbroić i opancerzyć; u jednego z fachowców, którzy zakuwają w stal współczesnych Polaków, artysta zamówił zbroję dla brzemiennej.

„Znowu te projekty...” – westchnie zrezygnowany widz, poszukujący na wystawach odrobiny tradycyjnych wartości i prac dotkniętych nie tylko myślą, lecz również ręką artysty. Tym razem Dawicki, wbrew swojemu konceptualnemu *modus operandi*, wychodzi naprzeciw także i tym oczekiwaniom. Udowadnia, że jest artystą nie tylko postkonceptualnym, lecz również „prawdziwym”. Zbroja to tylko wstęp do serii elegancko oprawionych rysunków ołówkiem, lawowanych tuszem na wysokogatunkowym papierze; w niektórych pracach artysta wspomagał się dodatkowo flamastrem. „To on potrafi rysować?” – pytali się nawzajem zaskoczeni goście wernisażu *Mary*. Opatrzony pieczęciami i ostentacyjnymi sygnaturami rysunki aż się proszą, aby je kolekcjonować; postkonceptualizm postkonceptualizmem, ale kiedy człowiek płaci pieniądze, woli dostać kawalek „prawdziwej” sztuki, a nie jakiś ulotny „projekt”. Komercyjne zamiary kryjące się za tym niespodziewanym zapalem do uprawiania tradycyjnych dyscyplin są oczywiste; nikt się zresztą specjalnie z nimi nie kryje. Po takim artyście jak Dawicki zarzuty w rodzaju „sprzedał się!” spływają jak deszcz po nieprzemakalnym płaszczu antybohatera. Nie zapominajmy, że mowa tu o autorze pracy pt. *Portret człowieka, który sprzedał kamień nerkowy swojego ojca*. O tym, że ów portret jest autoportretem Dawickiego wspominam tylko *pro forma* – podobnie jak o tym, że artysta naprawdę oparł wspomniany kamień w sygnet i sprzedał go pewnemu kolekcjonerowi sztuki jako pracę pod tytułem *Ból ojca*.

W doświadczeniu porażki, które celebrytuje Dawicki, mieści się także klęska etyczna – artysta nigdy nie obiecywał, że będzie człowiekiem wolnym od nałogów, dobrym czy też bezinteresownym. Zostawmy więc zyski z niespodziewanie ujawnionego talentu rysowniczego artysty samemu artyście oraz reprezentującej go galerii i skupmy się na samych rysunkach. Ich bohaterki świetnie nadawałyby się na modelki do prezentacji zamówionej przez Dawickiego zbroi dla ciężarnej husarki. Oglądamy świat zaludniony wyłącznie przez kobiety w zaawansowanej ciąży. W dodatku ten świat jest jednym wielkim cmentarzem; wszystkie rysunki przedstawiają nekropolie. Brzemienne kobiety opiekują się mogiłami, zamiatają cmentarne alejki, układają kwiaty na nagrobkach. Oczy ukrywają za ciemnymi okularami, które, jak zauważają galerzyści, „mogą być atrybutem letniego szyku albo nieuleczalnej ślepoty”. W ogóle te sceny pełne są ambiwalencji, nieuniknionej w historii, której protagonistki są prawdziwymi bohaterkami naszych czasów: „karmicielkami nienarodzonych” i zarazem „opiekunkami umarłych”.

Puentą tych brzemiennych w sztafaż cmentarnych pejzaży jest salka, w której Dawicki wystawia kolekcję blaszanych nagrobnych tarcz, malowanych (znów ręcznie!) biało na czarnym. Tarcze upamiętniają całe grono osób najprawdopodobniej fikcyjnych, lecz o nazwiskach brzmiących dziwnie znajomo. Trud Ponitz, Nadzieja Czar-Nowicka, Tomasz Cilos, Korporacja Koniecpolska, Wiktoria Daremna – to tylko niektórzy z nieboszczyków, których przywołuje artysta.

Dawicki mówi tajemniczo, że cała wystawa jest rodzajem scenopisu performance'u z udziałem ciężarnych, który wyreżyserował we śnie. A więc to tylko majaki i mary? Owszem, ale takie, które śnią się chyba nie tylko Oskarowi. Polityka prorodzinna, ciężce urojone, niekończące się cementarne aleje, Trudy Ponitz i Korporacje Konięcpolskie – ten neoromantyczny krajobraz mógłby dawniej posłużyć za scenografię niezłego koszmaru, jakiegoś *Wesela*, *Dziadów* lub innej symbolicznej fantasmagorii. Historia znana jest z tego, że wprawdzie lubi się powtarzać, ale powraca już nie jako dramat, ale farsa – majaki, mary, żart, który, jak wiadomo, nie może być zbyt śmieszny, żeby był dobry.

Data publikacji: **24.01.2018**

 **Lubię to!** 0  **Udostępnij**

TAGI

[SZTUKA](#) [WYSTAWA](#) [RECENZJA](#) [OPINIE](#)

PODZIEL SIĘ

   

Stach Szablowski

Wędrowny krytyk, kurator i historyk sztuki z Warszawy.